Rok III.

Nr. 8. Nr. 8.

# TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 22 lutego 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

TREŚĆ: O poezji polskiéj XIXgo wieku, napisał Dr. Adam Bełcikowski. (Dokończenie). — Trzy miesiące. Ze znalezionego rękopismu wydał Józef Narzymski. (Ciąg dalszy). — Gloria, wiersz na czterechsetletnią uroczystość Mikołaja Kopernika. — Opisanie kampanji 1792 r. przez Kościuszkę świeżo po niéj skreślone, i Manuskrypt Tadeusza Kościuszki, opisujący kampanję odprawioną przeciw Rosjanom w r. 1792. — Gdybym był dyktatorem. Satyra polityczna. (Dokończenie). — Przegląd literacki: Paszkowskiego generała „Dzieje Tadeusza Kościuszki, pierwszego naczelnika Polaków." (Dokończenie). — Teatr. — Wiadomości bieżące o rzeczach polskich. — Skrzynka do listów. — Ogłoszenia

## O poezji polskiéj XIXgo wieku

napisał
Dr. Adam Bełcikowski.

(Dokończenie.)

Stan Polski po upadku powstania przedstawiony w Anhelim. Straszny to obraz! jak piekło do nieba niepodobny do seraficznego Przedświtu. Cała ziemia polska przeniesiona tu w podbiegunowe okolice, w strony Syberji, bo tak ołowiane niebo ciężyło nad duszami, tak mroźném i dzikiém jak ta natura musiało wydawać się wszystko w kraju, zdanym na łaskę wroga. Z mieszkańców téj ziemi jedni cierpią więzienie i męczarnie, na których opis uczucie się wzdryga, drudzy są na wygnaniu (emigracja) a ich losy niemniéj litości godne. Bo jeśli tamci giną w katuszach wroga, tych gubi nędza własnego ducha. Kłótnie i swary dzielą wygnańców na obozy, na których czele stoją: graf Skir (arystokraci), Skartabella (demokraci) i Ojciec Bonifat (mesjanizm); zaślepienie i obłęd umysłowy nie dają im widzieć prawdziwych celów i drogi, zamiast obrócić wszystkie siły przeciw wrogowi, wyniszczają się i giną w bratniéj walce.

Podobnie dalsza i bliższa przeszłość Polski nie była w oczach Słowackiego bez skazy, historja nie jest dla niego taką idealną, czystą kartą, jak dla poprzednich poetów. W życiu polityczném widzi on błędy i wady, i w tych upatruje przyczyny upadku. Najjaskrawszym wyrazem tego poglądu jest zapewne „Grób Agamemnona." Spotykamy się tu najprzód z zawstydzającém wspomnieniem powstania 31 roku, ze wspomnieniem owych „pół rycerzy żywych", co niepodobni do towarzyszów Leonidasa, przeżyli upadek sprawy. Daléj wystawiona jakby pod pręgierz postać szlachcica w złotym pasie, czerwonym kontuszu... postać imponująca butą, a nikczemna brakiem moralnéj wartości. Poeta każe Polsce wyrzec się tych zewnętrznych znamion przeszłości, a raczéj stanąć nagą jak bohaterski trup Leonidasa. — Zbyt to zapewne surowy sąd, lecz nie z nienawiści, nie z niepoznania przeszłości wydany: dowodem postacie szlachty (jak n. p. w dramatach) stworzone przez poetę z urokiem i sympatją. Na dnie tego sądu leży bezwątpienia myśl postępowa, piękna i humanitarna; poeta chciałby, aby jego rodacy wyzuli się z tych przywar, słabości i małostek, przez które umysły tępieją i nikczemnieją. a stali się wielkimi przez rozum, szlachetność i podniosłość ducha, jak bohaterowie starożytni, ideały dla całéj ludzkości.

Z tego cośmy powiedzieli widać już, jak bardzo różnił się on także w zapatrywaniu się na kwestje socjalne z Krasińskim. Mówiąc krótko, Słowacki stał na stanowisku demokratyczném. Przeszłość nie czarowała go i nie więziła jego umysłu swym urokiem, w szlachcie nie widział przodowników narodu, nie chciał różnicy stanów w Polsce, a raczéj lud wydawał mu się nadzieją przyszłości, skoro rola szlachty się skończyła.

Nie dziw, że Słowacki odpowiedział na „Psalmy" Krasińskiego (wierszem „Do autora Psalmów"). Na miejsce mesjanicznéj teorji postawił on inną, zupełnie jéj przeciwną. Postęp i przyszłość świata widział w radykalnych zmianach, w bezwzględném przeobrażeniu, którego miał dokonać nie Chrystus z słowem miłości, ale „Duch rewolucjonista" — świat miał dojść do szczę-

ścia i ładu nie przez pokój i pojednanie, ale przez wielkie kataklizmy i bolesne walki. — Na tę odpowiedź Krasiński znowu odpowiedział (dwoma ostatniemi Psalmami). Zapytał z gorzką ironją przeciwnika, do czego jego teorja prowadzi? i wskazał na świeże wówczas wydarzenie, na rzeź 46 roku, jako niezbędne owoce podobnéj teorji i dowód jéj szkodliwości. Dowód to jednak więcéj pozorny, jak wspomnieliśmy wyżéj, a bynajmniéj przeczuć i poglądów Krasińskiego nie stwierdzający, bo rzeź była właśnie wybuchem nienawiści, nie objawem miłości, któréj przyjście on w niedalekiéj przyszłości zapowiadał (w Przedświcie). Ale choćby nawet to wydarzenie przemawiało za Krasińskim, czyliż z tego wypada, że takie teorje jak jego zdolne są podobnym wydarzeniom zapobiedz? Cały przebieg dziejów nas przekonywa, że na świecie nic się nie dzieje bez walki, bez cierpień. Im większa nawet, im sprawiedliwsza idea, tym poród jéj boleśniejszy. I nie może być inaczéj. Nikt lepiéj jak autor Irydjona i Nieboskiéj nie wiedział, że na świecie są potężni i słabi, panowie i niewolnicy, tacy co mają nazbyt i tacy co nie mają nic. Jedni chcą zatrzymać to, co posiadają, drudzy chcą posiąść to, czego im brakuje. Naturalną więc jest walka, bo żadna strona nie zrobi ustępstwa. Autor „Psalmów“ powiada, że powinni robić ustępstwa, ale co zdoła ich sprowadzić na wspólny grunt miłości dla porozumienia się i pojednania? czyż on w Irydjonie, w Nieboskiéj albo gdzieindziéj wypowiedział to słowo zaklęcia, pod którego czarem serca do téj miłości by się nakłoniły? czy powiedział, kto ma zrobić krok pierwszy?... Cel, jaki sobie wytknął, zaiste wielki i święty — ale drogę, drogę do tego celu pokazać, to byłoby jeszcze większą zasługą w obec ludzkości... Biorąc rzeczy tak jak są, nie można się łudzić, że nim sprawiedliwość i miłość przejdą w życie narodów, nim staną się prawem mocniejszego na świecie, muszą jeszcze stoczyć niejedną ciężką walkę i krwią i znojem okupić swe zwycięztwo.

Tak trzeźwo i jasno na świat patrzący Słowacki, zamącił jednak w końcu swego ducha Towianizmem, który gorszy na niego wywarł wpływ, niż na innych. W Mickiewiczu, w Krasińskim mistycyzm należał do ich poetycznego organizmu. Mickiewicz doszedł do niego stopniowo, w logiczném rozwoju swego talentu, i był sam twórcą Mesjanizmu. Krasiński patrzył na dzieje i świat ze stanowiska filozoficznego, abstrakcyjnego; cała jego poezja ma charakter refleksyjny, z teorjami mistycznemi nader zgodny. Słowacki zaś górował nad nich wyobraźnią, to była naczelna władza jego ducha, a usidlona w mistycyzm, nie mogąc z nim się pogodzić, poczęła stwarzać w poecie fantastyczne rojenia i mary. Z owych czasów pochodzi „Król-Duch“, w którym Słowacki wziął sobie za zadanie odgadnąć i odsłonić tajemnicę ducha narodowego w rozmaitych okresach dziejów. Ten duch narodu, według poematu, wciela się w jego wyobrazicieli i przez metampsychozę przechodzi z jednego w drugiego. Nieszczęściem poeta nie oparł się na filozoficzném dostrzeganiu, na historycznem badaniu przeszłości, ale stosownie do swych celów i wyobrażeń stworzył sobie fantastyczną przeszłość. Nie ma ona więc prawdziwego charakteru, a ztąd także poglądom Słowackiego, ani wnioskom jakieby się z nich dały wyprowadzić, wierzyć nie można. Przypomnieć na tém miejscu się należy, że w najświetniejszym swym okresie Słowacki lubił często patrzeć w tę odległą przeszłość, by sobie rozjaśnić początek Polski, a ztąd także i dalsze jéj przeznaczenie. Fantastycznemi obrazami tych urodzin Polski są: Balladyna i Lilla Weneda. Z bliższéj przeszłości oprócz dramatów jak n. p. Mazepa, Horsztyński, zasługuje szczególnie na uwagę poemat Bieniowski. Możnaby zrobić przypuszczenie, że Bieniowskiego wywołał Pan Tadeusz (jak Kordjana Konrad), i zaznaczyć tę różnicę, że Mickiewicz opisywał spokojny, sielski żywot szlachty, a Słowacki wybrał sobie za przedmiot burzliwe, pełne nieszczęść czasy Konfederacji Barskiéj. —

Na tém zakończę. Wiem, że nie wyczerpałem przedmiotu, o którym tomy możnaby pisać. Poprzestałem tylko na wskazaniu głównego szlaku, jakim szła myśl narodowa w poezji, i najważniejszych wpływów, jakie z niéj przechodziły na Polskę. Zastanowiłem się głównie nad trzema postaciami, bo to są twórcy i wyobraziciele epoki — inni, choć niektórzy z wielkim talentem, szli po większéj części ubitym przez nich gościńcem, albo też nie podnosili kwestji podobnéj doniosłości.

W zadziwienie istotnie wprawia ta poezja XIXgo wieku. W upadku, w śmierci politycznéj narodu powstaje i dochodzi tak wysoko. Literatura nasza święci naprawdę swój złoty okres nie w wieku XVI, pod szczęśliwém berłem Zygmuntów, ale w wieku XIX, w wieku niewoli i łez. Czego to dowodzi? Że duch narodu żyje, że myśl jego nie zamarła, ale rozwija się i kształci, aby kiedyś znów ucieleśnić się w widomych kształtach politycznego organizmu.

A jakaż zasługa tych poetów? Ta, że stali się żyjącemi organami téj myśli i tego ducha, że utrzymywali życie umysłowe w narodzie, że myśleli i czuli za niego i o nim, i tym sposobem całemu społeczeństwu nie pozwalali zasnąć w bezmyślności i apatji. Nie wszystkie idee przez nich rzucone możemy uznać za prawdziwe lub zbawienne, niektóre może są całkiem fałszywe — ale o każdéj z nich powiedzieć trzeba, że jest szczytną, że podnosi godność i moralność narodu. A czyż to nie dosyć, czyż to nie jest bardzo wiele! Wprowadzać jakieś społeczeństwo na najwyższe stopnie ludzkości, udoskonalać jego ducha, znaczy to tworzyć w niém wewnętrzną siłę, która bądź co bądź kiedyś stanie się potęgą — znaczy to kłaść zasługi w obliczu narodu, ludzkości i Boga. Nie ma na świecie nic doskonałego bezwzględnie, wszystko, zwłaszcza co się nowego rodzi, jest niedołężne i słabe, choć może mieć w sobie zarazem zarody przyszłéj doskonałości i mocy. Co było ułomnego, z czasem się wyprostuje; co było niepotrzebnego, odpadnie — ale ta treść wzniosła i święta zostanie, rozwinie się w kształtach skończonych i z potęgą prawdy w swém wnętrzu.

Takich myśli wielkich, wzniosłych, wzmacniających w nas wiarę, utrzymujących nadzieję, poeci XIX wieku wiele nam ze siebie dali — otwarli nam sfery ducha, których przedtém nie znaliśmy, uszlachetnili w nas uczucia i podnieśli przez to naszą narodową i ludzką godność.

# TRZY MIESIĄCE.

Ze znalezionego rękopismu

wydał

Józef Narzymski.

(Ciąg dalszy.)

B... 11 czerwca.

Widziałem ją więc znowu!... Na mój widok twarz jéj rozjaśniła się jak niebo, gdy trysną pierwsze promienie wychodzącego z za chmur słońca...

Przybyłem przed południem i tyle tylko czasu straciłem, ile na przebranie się było potrzeba... Nie miałem odwagi grać daléj obrzydłéj komedji... Byłem sobą... Widok jéj działa na mnie w cudowny sposób... Patrząc na nią, jestem jak człowiek upojony opium... marzę cudne rzeczy... roję... mam nadzieję... wierzę w nieśmiertelność i dusz połączenie kiedyś... Napróżno niegodziwa pamięć wołała: jutro!... jutro!... Oh! jutro!... ale dziś i jutro będę ją widzieć jeszcze... A potém cóż?... Nieprawda!... tysiąc razy nieprawda!... człowiek nie umiera całkowicie... Jutro, padnie to tylko, co we mnie trawi, rusza się, co potrzebuje jeść i pić... ale to co myśli i czuje, co kocha i tęschni... to umrzeć nie może... to — z tém co zebrało na ziemi, popłynie do stóp Najwyższego... lub krążyć będzie około bratnich dusz uwięzionych tu jeszcze...

Inaczéj być nie może!... Z takiéj Marji miałażby się zostać szczypta prochu tylko.... Ah! w takim razie świat... życie byłyby komedją obrzydliwą... Oh! tak!... będąc z nią... byłbym przysiągł na pamięć mego ojca, że jest dusza, że jest życie po za grobem, że są sfery jakieś, w których się dusze spotykają ze sobą!... Ale dość tego... okna moje wychodzą na ogród jakiś... księżyc w pełni... bzy i jaśminy zapachem przepełniają powietrze... opóźnione słowiki odzywają się jeszcze... Precz światło i atrament... będę marzył o niéj...

Jeżeli dusze kochające wracają kiedy na ziemię, to chyba w noc taką jak dzisiejsza... Może i ja...

B... 12 rano.

..........................................................................

Nigdy może tak smacznie nie spałem, jak dzisiaj... Ostatni raz!... W nieszczęściu mam jednak szczęście... Nie mogłem lepiéj użyć resztki życia... w dzień przy niej, w nocy z spokojném o niéj marzeniem i snem uroczym... Szkoda przecież czasu na sen... Razem ze słońcem wstałem i poszedłem w góry obrosłe liściastym lasem, które o kilka kroków ztąd się rozpoczynają... Po raz ostatni chciałem się upoić wiosną i pożegnać to, com tak zawsze kochał... zieloność... woń... błękit i słońce błyszczące w kroplach rosy...

Ostatni mój ranek... ostatni raz wschodzące z za gór widziałem słońce... a jednak spokojniejszy byłem jak kiedykolwiek.. Wielka to prawda, że bliskie niebezpieczeństwo daleko mniéj nas przeraża, jak dalekie... Obecnie ja i śmierć stoimy jak dwaj przeciwnicy na placu... oko w oko... Widzę ją już i idę spokojnie... jak każdy na mojém miejscu.

Słońca promienie już złociły wierzchołki sosen, a ja leżałem sobie na wilgotnym wrzosie, chłonąc całą piersią orzeźwiające wyziewy i prawie bezmyślnie, jak człowiek pijany, rozkoszując się wszystkiém. Nademną szumiały lekko liście klonu, a wśród nich widać było kawałek błękitu... Wśród liści i na błękicie migała postać Marji jakby ze mgły utkana... to znów widziałem twarz smutną i kochający wzrok matki... to Izy błyszczące oczy... Obok nich, trochę mniéj wyraźnie, widziałem Alfonsa i Leona i cały szereg przyjaciół i znajomych... i Dębowo i Słomniki... Wszystko to widziałem na raz i osobno... wszystko to widziałem nie tracąc z oczu liści i kawałka nieba... Ze wszystkiemi naraz mówiłem, jakimś językiem cichym... niedosłyszalnym... Nie było słów... nie było zdań... ale rozumiałem ich doskonale i oni mnie rozumieli... Dziwnie mi było dobrze... i zupełnie straciłem poczucie rzeczywistości... Nie był to sen, bo oczy miałem otwarte... Byłoż to widmo tego, co mnie po za grobem czeka? Czy tylko cudne marzenie zawróconego świeżością powietrza mózgu?...

Jak długo trwał stan ten dziwny nie wiem... O kilkadziesiąt kroków zadźwięczał dzwonek kościelny... złudzenie znikło... Podniosłem się, siadłem, przetarłem oczy, westchnąłem... Rzeczywistość wracała... Piękna była ona... to prawda... Słońce tu i owdzie przedzierało się przez gęstwinę, a dzwonek dźwięczał ciągle .. Przypomniałem sobie prawdziwy stan rzeczy, ale porzucać tego miejsca mi się nie chciało... Pełen jeszcze byłem owego wrażenia błogości... Zasłoniłem oczy jakby chcąc przytrzymać niknące mary, ale rozpłynęły się bezpowrotnie... Głos dzwonka powtarzany przez każde drzewo, dźwięczał mi ciągle w uszach... Powoli zaczęło mi się zdawać, że to w Dębowie na mszę dzwonią... Kiedyś, mając lat 6 czy 7, sługiwałem do mszy, z czego byłem niesłychanie dumny... Sygnaturka kościelna budziła mnie nieraz ze snu... Niestety!... gdzież te czasy... Wtedy szedłem w życie, dziś... Głos dzwonka był podobny, ale jakaż różnica na około mnie i we mnie!...

Ten głos ciągnął mnie jednak ku sobie i poszedłem w górę, stromą ścieżką. Wśród gęstych jodeł, stała maleńka, drewniana, słomą pokryta kapliczka... Drzwi były otworzone, przed ołtarzem ksiądz mszę zaczął właśnie odprawiać. W kaplicy, w dwóch małych ławeczkach, było kobiét parę, jedna z nich klęczała bliżéj ołtarza z czołem opartem o chrzcielnicę.

Raczéj przeczułem niż poznałem ukochaną moją... Przysiągłbym, że się modliła za mnie...

Cisza panowała zupełna... słychać było tylko cichy szept księdza i czasem skrzyp estrady, po któréj chodził... Było coś uroczystego, coś przejmującego do głębi w tym obrazie... Ten las, ta skromna kapliczka... te postacie kobiét zakwefionych i modlących się na prawdę, ta prostota i cisza podnosiły serce i myśl... Stałem przed drzwiami przejęty... wzruszony... drżący. Naraz dzwonek zabrzęczał na podniesienie i pochyliły się głowy kobiéce... kolana mi się zgięły mimowolnie, a czoło oparło się o kamień chłodny i wilgotny, stojący zewnątrz a napełniony wodą święconą...

I oto cała wiara młodzieńcza wróciła w téj chwili... wiara prosta, szczera, naiwna, wiara dziecięcia, zanim z pod skrzydeł matki wyleci... Gdzie się podziały zwątpienia i kwestje rozumu?... Modliłem się jak za dziecinnych lat moich, jak przy łóżku matki, powtarzając machinalnie „Ojcze nasz i Zdrowaś", całą duszę podnosząc w jakiéjś nieokreślonéj ufności czy uniesieniu do Boga...

Modliłem się za nią, za matkę... za wszystkich... błagałem o ich szczęście i spokój.. z dziecinną naiwnością starałem się wytłomaczyć zamierzone samobójstwo... słowem, byłem tak jak w owéj chwili, gdy mnie matka do pierwszéj prowadziła komunji...

Wrażenia lat dziecinnych zawsze są potężne.... Przy piewszéj sposobności wracają one z całą siłą...

Oparty tak, zatopiony w sobie, nie spostrzegłem,

jak msza się skończyła, jak wyszli wszyscy... Gdym głowę podniósł i obejrzał się, pusto było w kaplicy... i w około...

W pierwszéj chwili zły byłem na siebie... mogłem ją widzieć, odprowadzić... pomówić z nią sam na sam... Ranek był taki cudny!... Ale to trwało niedługo... Lepiéj się stało!... W usposobieniu, w jakiém jestem, któż wié czybym panować nad sobą potrafił?...

A może mnie nie poznała?.... Wolałbym... Ta moja modlitwa na świeżém powietrzu miała minę tartuferji... Wszak Oskar starając się o bogatą pannę, klęczał po całych godzinach i bił się w piersi i wzdychał... Przestałem mu odtąd rękę podawać... i obrzydł mi na zawsze...

Ah! być o coś podobnego posądzonym przez nią?... Wprawdzie niedługo przekonałaby się, że człowiek w mojém położeniu nie gra komedji nikczemnéj...

Jedenasta!... a ja bazgrzę... a życie na minuty się liczy... Do niéj... do niéj... skorzystać z każdéj chwili.

B... 12 czerwca.

A więc za godzinę niecałą... skończone będzie wszystko!... Trzynaście minut po jedenastéj... zegarek naregulowałem z zegarem kościelnym... Rewolwer nabity... świeczka w latarce obsadzona... Nie myślę się zabijać tutaj... cały hotel by się zbiegł natychmiast... dotykanoby ciepłego jeszcze ciała mego... Nie!.. chcę umierać tam, gdziem żyć tak lubił... wśród krasnéj przyrody, w lesie czarnych jodeł, usrebrzonych połyskiem księżyca!... Wybrałem sobie już to miejsce... Przy małéj ścieszce pnącéj się na górę, altanka z jodłowych krzewów... Z niéj widać okno pokoju Marji... Przeczuwam, że się będzie modlić w téj chwili... światełku w jéj oknie ostatnie poślę pożegnanie...

Spostrzegłem zaraz, że poznała mnie przed kaplicą... Domyśliłem się tego po wzruszeniu z jakiém mnie witała, po serdecznym uścisku jéj dłoni.

— Posłałam już Izie szczęśliwą wiadomość... rzekła gdyśmy oglądali świeże jéj rysunki.

— Szczęśliwą wiadomość? zapytałem zdziwiony.

— Doniosłam jéj, że przesilenie choroby nastąpiło...

— To jest mojéj niby?...

— Naturalnie.

— A to w sposób?...

— Modliłeś się pan...

— Ah! widziałaś to pani?...

— Nie mogłam niewidzieć...

— To prawda — rzekłem, widząc w tém potwierdzenie moich przypuszczeń — ulokowałem się na najwidoczniejszém miejscu... ale mylisz się pani... oparłszy się o kamień, zasnąłem... Głos księdza proboszcza tak mi przypominał brzęczenie osy.

Chciałem szyderstwem zniszczyć pozór śmieszności i tartuferji.

— Nie uwierzysz pan, jak mnie ranisz kłamiąc tak przedemną — rzekła drżącym od gniewu głosem i z oczami iskrzącemi, pełnemi łez.

Przelękłem się tego gniewu. Wziąłem jéj rękę i rzekłem:

— Przebacz mi pani... to... i wszystko... Masz słuszność... modliłem się... modliłem tak gorąco, żem nawet pani nie przeczuł... gdyś przechodziła... Ale cóż ztąd... wszak ludzie się modlą a jednak... cierpią...

— Tak... ale gdy taki, jak pan człowiek, klęknie i modli się, to znać, że w jego duszy wielki nastąpił przewrot... a przewrot u pana, to zdrowie...

— Są choroby, z których nic nie leczy, ani modlitwa cicha, ani nawet... takie, jak pani anioły...

— Mów pan — rzekła prawie gwałtownie.

Na moje szczęście pani Strusiowa zbliżyła się do nas... Rozmowa została przerwaną. Przy obiedzie jednak, na spacerze, widziałem, że jest niespokojną, że chce mówić ze mną... Jam unikał tego... i byłem milczący, niegrzeczny dla staruszki i innych, bom na nią tylko patrzał... nią żył... Chciałem w pamięci méj wyryć każdy jéj ruch, giest, zapamiętać każdą głosu jéj wibrację.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# GLORIA.

(Wiersz na czterechsetletnią uroczystość pamięci Mikołaja Kopernika — dn. 19 lutego 1873 r.).

Sława, cześć przez pokolenia
Genjuszom sława!
Których myśli i natchnienia,
I których żywota praca
W nowe prawdy świat zbogaca,
Sława, sława, sława!

Słyszycie! przez lądy, morza
Przez wszystkie ziemi przestworza
Z tryumfem święcą narody
Jubileuszowe gody
Kopernika cześć!
Bo gdzie była noc i błąd
Wzniecił światło, wydał sąd,
Świat na nowe drogi wieść.
Gdzie są boskie tajemnice,
Gdzie są słońc i sfer granice,
Tam duch jego miał swą jazdę;
Więc wśród światów miljona
Zyskała ludzkość zdumiona
W Koperniku „nową gwiazdę.“

Sława, sława! a jéj blask
Wżdy na ciebie spływa.
Płodna niegdyś orłów matko
Polsko nieszczęśliwa!
Po nad tobą kir grobowy,
Ty swój tryumf narodowy
W szacie obchodzisz jobowéj
Ach, niby ostatnia z rzędu!

Lecz ty czuwasz: przez walk dzieje
Sprawiedliwość aż zadnieje,
Aże zbrodnia potruchleje
I przeminie moc obłędu.

Lecz ty wytrwasz w swojéj doli
Wytrwasz według bożéj woli,
Bo dzierżąc sztandar wiekowy
Trwa twój żywy duch;
Jako trwa „kopernikowy
Kuli ziemskiéj ruch.“

Sława i cześć genjuszom
Hetmanom mądrości, —
Sława i cześć z Kopernika
Polsce wśród ludzkości!

Alf.

# Opisanie Kampanji 1792 r.

przez Kościuszkę świeżo po niéj skreślone

i

# Manuskrypt Tadeusza Kościuszki,

opisujący Kampanję odprawioną przeciw Rosjanom w roku 1792.

Pod temi dwoma tytułami spotykamy się z własnoręczną Tadeusza Kościuszki pracą, którą generał Paszkowski w swych „Dziejach" na str. 269 sqq. i „Przyjaciel Ludu" w Nr. 35 z roku 1843 w odmiennéj osnowie zamieszczają.

„Przyjaciel Ludu" nie wspomina, zkąd go doszedł ogłoszony przez niego „Manuskrypt"; generał Paszkowski zaś pisze w téj mierze co następuje: „Własnoręczne to pismo Kościuszki znalazło się w papierach Józefa Dzieszkowskiego we Lwowie, przypisane mu przez Stanisława Kostkę Potockiego. Zawierając wiele przemazań i niepoprawności dowodziło, że z pośpiechem przy niewielkiéj wprawie było kreślone. Zachowując całość jego stylu i prostując tylko omyłki trudniejsze do zrozumienia, dołączam je tu jako pomnik jego już wtenczas sposobu widzenia, sądzenia i oddawania rzeczy, ile skromnie dla siebie, tyle względnie dla swego wodza i kolegów.

Porównywając tę dwukrotnie drukowaną pracę Kościuszki, przekonałem się, że jak z jednéj strony generał Paszkowski nie ograniczając się na „prostowaniu tylko omyłek trudniejszych do zrozumienia", zmieniał pojedyncze wyrazy, dobrze wszystkim zrozumiałe, poopuszczał całe ustępy lub pozamieszczał takie, których zgoła nie ma w „Przyjacielu Ludu", — tak z drugiéj strony tych samych i podobnych dopuszczano się nadużyć. Która zaś z tych stron więcéj lub mniéj w tym względzie zawiniła, orzec nie mogę, nieposiadając manuskryptu.

Generał Paszkowski w swoim wstępie do „Opisania Kampanji" wspomina wprawdzie o „przemazaniach" w rękopiśmie, nie rozstrzyga jednak, czy one ręką Kościuszki lub też obcą dokonane zostały.

W każdym razie uważając wspomnioną pracę Kościuszki za ważny dokument do ówczesnych dziejów ojczyzny naszéj, podaję poniżéj główniejsze i rażące zmiany, jakich się albo redakcja Przyjaciela Ludu albo generał Paszkowski dopuścił.

### Paszkowski:

1. Przy *omyłkach* tak grubych.....

2. Dla wstrzymania przejścia rzeki dywizji rosyjskiéj idącéj *do* Berdyczowa.....

3. Chcąc *ją* wstrzymać od przedsięwziętéj drogi, którąby prędzéj stanąć mogła w Połonnem, *nieco* mając bliżéj aniżeli on;......

4. Generał Lewanidow komenderujący dywizją tą rosyjską, obawiając się aby gdy się ruszy z Miropola, Generał Kościuszko nie wziął mu tyłu, zatrzymał się. Ruszono w nocy bagaże......

5. Książę Generał słysząc odgłos armat częsty *i uciekających od stawu*, zatrzymać się kazał......

6. Nieśmiałość Moskali w atakowaniu ariergardy, oczekującéj *dużo* godzin na placu, przywróciła nieco śmiałości, a *spóźniła porę*, iż w nocy stanęło ze wszystkiém wojsko w Szepetówce.

7. Tu odebrał Książę Generał wiadomość od Księcia Michała, iż z dywizją wynoszącą do sześciu tysięcy stanął w Zasławiu, *z którą od dwóch tygodni prędzéj już być powinien był tam.* Książę Generał rekwirował aby wyszedł naprzeciw niemu......

8. Ujrzawszy Książę Józef Moskali, natychmiast *przychodniéj dywizji* i swéj armji rozkazał onych atakować.

9. Chociaż w akcji stracili więcéj jak dwa tysiące ludzi Moskale; jednak *niedopełnienie rozkazu przez Generała Czapskiego w atakowaniu żwawem, Dywizję swoją nieprzyjaciela, niezdatność Księcia Michała,* który w rejteradzie *a* nie w boju miał skłonność komenderować, a co najtrudniejsza rzecz była, gdyż nigdy szpiegów dobrych dostać nie można było; *i niezaczekanie może Dywizji Generała Kościuszki*, który wtenczas nadszedł......

10. Generał Kościuszko wziął się w prawo *udając się do Sławuty*, ale wszedłszy w las......

11. W drodze téj *ów Rudnicki Brygadjer* uciekł do Moskali...

12. Po dwudniowym spoczynku w Zasławiu, zostawiwszy mocno rannych ludzi w klasztorze dla niedostatku wozów, lecz z opatrzeniem dla ich wygody; wyszło wojsko do Ostroga obiecując *długi czas* zatrzymać się w mocnéj *jego* pozycji, zwłaszcza, że atakowanie próbowane nieprzyjaciela *tam z najsposobniejszego miejsca*, po kilka razy było nieskuteczne.

13. W Dubnie spodziewał się żołnierz odpoczynku, wygody, opatrzenia w *obuwie* brakujące wielu i posiłku znacznego, z przytomnością obiecaną samego Króla, — *skwapliwie tam dążył przenocowawszy w Warkowicach.* Obywatel zaś zasmucony......

### Przyjaciel Ludu:

1. Przy *błędach* tak grubych......

2. dla wstrzymania przejścia rzeki dywizji rosyjskiéj idącéj *od* Berdyczowa......

3. Chcąc wstrzymać *dywizję polską* od przedsięwziętéj drogi, bo Rosjanie prędzéj mogli stanąć w Połonnym, *milę* mając bliżéj......

4. Generał Lewanidow komenderując dywizją tą rosyjską, obawiając się, aby gdy się ruszy z Miropola generał Kościuszko nie wziął mu tyłu, zatrzymał się. *W tymże samym czasie generał Kochowski zachodził prawy flank armji polskiéj, stojący pod Lubarem i już Kozacy w tyle ukazywali się*; ruszono w nocy bagaże.....

5. Książę Poniatowski słysząc odgłos armat częsty, zatrzymać się kazał.

6. Nieśmiałe Moskali atakowanie ariergardy oczekującéj *dwie* godzin na placu, przywróciło cokolwiek śmiałości i *sprawiło*, iż w nocy stanęło ze wszystkiém wojsko w Szepetówce.

7. Tu odebrał książę generał Poniatowski od książęcia Michała Lubomirskiego raport, że z dywizją wynoszącą do sześciu tysięcy ludzi stanął w Zasławiu; książę generał rozkazał mu, aby wyszedł naprzeciw niemu......

8. Ujrzawszy książę Józef Moskali, natychmiast swéj armji rozkazał onych atakować.

9. Chociaż w akcji téj stracili Moskale więcéj jak dwa tysiące ludzi, jednak *niedopełnione generałów naszych rozkazy i niezdatność niektórych*, którzy w rejteradzie a nie w boju mieli skłonność komenderować, *o* co najtrudniejsza rzecz była, gdyż nigdy szpiegów dobrych dostać nie można było, *wszystko to zaszkodziło Polakom w ich wygranéj, i nieczekanie na dywizję generała Kościuszki*, który wtenczas nadszedł......

10. Generał Kościuszko wziął się w prawą, *udając iż idzie do Sławaty*, ale wszedłszy w las .....

11. W drodze téj *brygadjer R.* uciekł do Moskali......

12. Po dwudziennym spoczynku w Zasławiu, zostawiwszy mocno rannych ludzi w klasztorze dla niedostatku wozów, ale z opatrzeniem *wszelkiém* dla ich wygody, wyszło wojsko do Ostroga, obiecując zatrzymać się w mocnéj *jakiéj* pozycji, zwłaszcza, że ataki nieprzyjaciela, *choć w najniesposobniejszych miejscach* po kilka razy były nieskuteczne.

13. W Dubnie spodziewał się żołnierz odpoczynku, wygody, opatrzenia; tam lubo brakowało *wiktu* i posiłku, przytomność obiecywano samego króla. Obywatel zasmucony......

14. Gdy się wojsko rozlokowało *koło Dubna, najpierwsza rzecz była Księcia Michała, zabezpieczyć miasto od zburzenia przez Moskali*; *wszedł pokryjomu w korespondencję z Generałem — — i otrzymał obietnicę ocalenia jego; co zaś do obowiązku swego nic nie uczynił*; nie przygotował chlebów i furażu, nie wyprowadził sukna na płaszcze dla całego wojska, namiotów ani prowiantu lub innych sprzętów, *chociaż był ostrzegany zawczasu od Księcia Generała.* W czasie przytomności armji......

15. Książę Generał z korpusem poszedł zaś do *Stornek* milę dalej... Generał Zabiełło miał zlecenie bronić kurs dalszy rzeki Bugu. *Książę Michał od komendy już był uchylony.* Ośm mil bronić......

16. Wojsko rosyjskie przypuściwszy fałszywy atak na posterunki Księcia Generała, w ośmnaście tysięcy i z artylerją złożoną więcéj *siedemdziesiąt* armat......

17. W całej téj akcji Polacy *stracili 90 ludzi*......

18. *Pamiętna* zaś wiadomość o dywizji Generała Byszewskiego późno wyprawionéj, która krążyła *wojsko litewskie i koronne* w bliskości......

19. Nie podobna wyrazić żalu, rozpaczy i *wzgardy* dla Króla...

20. Wszyscy poznali *zdradę* królewską......

21. ....a na czele Króla mając, bijąc się za swój kraj, jaka moc by......

22. Lecz przestraszony Król stratą korony, podlazł pod kondycje jakie mu *przepisze* ambicja Katarzyny. Usprawiedliwiał się on *niekoniecznie* że pieniędzy nie było......

14. Gdy się wojsko rozlokowało, *znaleźli się tacy, co weszli pokryjomu w korespondencję z generałem Kochowskim.* Nie przygotowano chlebów i furażu. Nie wyprowadzono sukna na płaszcze dla całego wojska, namiotów ani prowiantu lub innych sprzętów, *chociaż ostrzegano.* W czasie przytomności armji......

15. Książę zaś generał z korpusem poszedł do *Horusle*, milę dalej.... generał Zabiełło miał zlecenie bronić kurs dalszy rzeki Bugu. Ośm mil bronić......

16. Wojsko rosyjskie przypuściwszy fałszywy atak na posterunki księcia generała, w ośmnaście tysięcy i z artylerją złożoną więcéj *sześćdziesiąt* armat......

17. W całéj téj akcji Polacy *stracili 900 ludzi*......

18. *Powzięta* zaś wiadomość o dywizji generała Byszewskiego późno wyprawionéj, która krążyła w bliskości......

19. Nie podobna wyrazić żalu, rozpaczy i *gniewu* na króla...

20. Wszyscy poznali *niechęć* królewską......

21. ....a na czele króla mając, bijąc się za swój kraj *i dependencję*, jaka moc by.....

22. Lecz przestraszony król stratą korony, podlazł pod kondycje, jakie mu *pisała* ambicja Katarzyny. Usprawiedliwiał się on *nikczemnie*, że pieniędzy nie było......

Ograniczając się na wykazaniu powyższych warjantów, z których różnorodne możnaby wysnuć domysły, uprasza się obecnego właściciela wspomnianego rękopismu o wyświecenie zachodzących różnic i niedokładności.

**Edmund Callier.**

# Gdybym był dyktatorem.

**Satyra polityczna.**

(Dokończenie).

Przepraszam najmocniéj pana Krzykacza i jego przyjaciół z Internacjonału, żem przez tak długi czas o nich zapominał. Stawali oni wrogo przeciw mnie, w miarę, jak tygodnie upływały, w czasie których jam im żadnéj osobistéj nie przynosił korzyści. Pan Krzykacz niezmiernie często obdarzał mnie swemi radami; sam mi to przyznać musi, że je przyjmowałem z wyszukaną grzecznością i że do słuchania ich zawsze byłem równie dobrze usposobiony. Pewnego dnia wszedł do mnie z oznajmieniem, „że komitet widząc, iż nie chcę czy nie umiem spraw jego prowadzić“, ma zamiar nową wywołać rewolucję i nazajutrz zaraz odjąć mi władzę.

— Kochany panie, odpowiedziałem mu, będzie mi nad wyraz przykrém stać się panu w czemkolwiekbądź nieprzyjemnym, ale wydam wojskom rozkaz przytłumienia téj manifestacji.

— Ah! odparł śmiejąc się. I pan przypuszczasz, że żołnierze, synowie ludu, nie pójdą z ludem ręka w rękę, jak to już niejednokrotnie czynili?

Nazajutrz manifestacja przyszła istotnie do skutku w Hyde-Parku, przy odgłosie bębnów, z chorągwiami, z towarzyszeniem mów ognistych i wszystkich akcesorjów, używanych w podobnych razach.

Ustawiłem trzy pułki konnicy na stanowisku panującém nad parkiém, a te trzy moje pułki pozostały milczące, niewzruszone, pełne groźby na przekór namiętnym odezwom, które do nich zwracał pan Krzykacz.

— Daléj, jeszcze jedną odezwę, panie Krzykaczu, przemówiłem z uśmiechem, nie powstrzymuj się wcale; słów, ile ci się podoba tylko — ależ, na Boga, nie czynów!

Prawdopodobnie pana Krzykacza zmęczyła ta rola wołającego na puszczy. Nie wiedział widocznie, żem przyobiecał żołnierzom podwajać żołd przez 6 miesięcy. Nakoniec rzekłem:

— Teraz, jak pan sam widzisz, panie Krzykaczu, nie masz tu już co robić. Tracisz pan tylko daremnie jeden dzień pracy i zrobiłbyś nierównie lepiéj powracając do swych nożyc (pan Krzykacz bowiem był krawcem). Piękniebyś pan wyglądał, gdybym tak dał rozkaz szarży!

— Obywatelu Rębajło, przemówił do mnie z całém namaszczeniem patosu, nadużywasz władzy, którą myśmy ci nadali.

— Ale skoro mi ją daliście, przestała ona już być waszą własnością.

— To najczarniejsza niewdzięczność!

— Być może, odparłem, ale to wyborna polityka. Zrobilibyście lepiéj rozchodząc się, bo konie już się niecierpliwią.

Międzynarodowcy uznali widocznie, że było roztropniéj z ich strony odłożyć na czas sposobniejszy rewolucję i rozeszli się spokojnie.

Zamatowawszy tak pana Krzykacza byłem odtąd pewny, że władza moja stanęła już na silnéj podstawie i że nadeszła chwila ukończenia olbrzymiego programu, który ściśle zwiąże się z mojém nazwiskiem w przyszłych kartach dziejów. Poprzednio użytemi środkami doprowadziłem kraj mój do dawnego stanowiska w poczcie narodów ziemi. Ale ambicja moja nie na tém się kończyła. Marzyłem dla ojczyzny mojéj o takim stopniu sławy i potęgi, jakiego nigdy przedtém nie dosięgła i do którego nie wzniósł się starożytny Rzym nawet.

Pojmowałem doskonale, że Anglja o własnéj sile nigdy nie zdoła dojść do téj wysokości. Nosi ona bowiem już w sobie zarody starości, jest przeludniona, bogata, pogrążona w zbytku i niezdolna do śmiałych

przedsięwzięć. Trzeba jéj krwi świeżéj, młodéj. Gdzież jéj szukać?

Jeden tylko naród w świecie mógłby otworzyć swe arterje dla dostarczenia potrzebnych nam sił żywotnych. Ku niemu też zwróciłem oczy. Otóż depesza telegraficzna, którą przesłałem Stanom Zjednoczonym:

„Bracia, sto lat ubiega od chwili, gdyście się z nami rozeszli; dzisiaj my się do was zbliżamy. Czyż nie dość już półwiekowéj niezgody między braćmi! Żądamy od was, abyście się z nami złączyli zachowując przecież równość zupełną i abyśmy odtąd jeden tylko stanowili naród.

„Rozdzielonych — liczą nas tylko w szereg wielkich narodów; połączeni — stanowić będziemy świat cały. Potężna federacja Anglo-Saksońska złożona ze stu miljonów ludzi mówiących angielskim językiem, z poddanymi sobie 300,000,000 ludzi, czyli z jedną trzecią częścią ludności ziemi całéj, otóż bezpośredni wynik naszego związku. Wkrótce, i to z wielką łatwością, odda nam się w ręce Ameryka południowa ze znaczniejszą częścią Afryki i Azji. Wojny odtąd staną się niemożliwemi, bo koalicja wszystkich nawet pozostałych państw przeciw nam byłaby śmieszną i bezsilną, czy to na lądzie, czy też na morzu.

„Bez kosztów, bez niebezpieczeństw, bez żadnych tedy komplikacji urzeczywistnić możemy ów odwieczny ideał: państwo uniwersalne. Przekształcić wszechświat cały na naszą modłę, — czyż można o czémś piękniejszém zamarzyć.“

Skoro dowiedziano się za granicą, że federacja Anglo-Saksońska stała się już czynem dokonanym i że było obecnie w świecie tak potężne mocarstwo, nieopisana trwoga ogarnęła zaborcze narody kontynentu. Niemcy publicznie wniosły myśl zawiązania ligi wszystkich innych mocarstw; ale tajemnie, półurzędowo prosiły o przyjęcie ich do Federacji. Z drugiéj strony Włochy, Danja i inne małe państewka były rozradowane, bo czuły się odtąd bezpieczniemi od wszelkich napaści, znajdując się pod tarczą wielkiego plemienia, kochającego po nad wszystko wolność.

W Anglji radość była ogólną, z wyjątkiem kilku zaledwie konserwatystów. Londyn iluminowany był przez dwa tygodnie z rzędu, po kościołach śpiewano Te Deum, na ulicach bezustannie słychać było hymny, wystrzały armatnie, puszczano balony a procesje ludu z narodowemi chorągwiami snuły się bez końca. Co do mnie, przyjmowałem tuzinami deputacje od rana do wieczora: deputacje ze stolicy, deputacje hrabstw, deputacje ziem podległych i kolonji; słowem, doszło do tego, że sama myśl o deputacji przyprawiała mnie w końcu o chorobę. Gdy wyjeżdżałem, tłumy ludu biegły z okrzykami za moim powozem; gdym wychodził, we wszystkich wystawowych szybach handlów oglądałem siebie w tysiącznych odbiciach fotograficznych. Pierwszy lepszy budowniczy, któremu udało się zmięszać trochę gliny z wapnem, nadawał swemu dziełu nazwę „Tarasu Rębajły“, a towary, których kupcy pozbyć się dotąd nie mogli, znajdowały, dzięki nazwie, zapożyczonéj od mego imienia, niesłychany popyt. Co to jest jednak być popularnym!

Najlepszym dowodem może owoczesnéj mojéj potęgi jest to, że dnia pewnego przyszedł do mnie pan Krzykacz, prosząc pokornie o „souverain'a.“ „A jam sądził, panie Krzykaczu, że wy rewolucjoniści zrzekliście go się na zawsze.“ Postawa jego przecież, wzbudzająca litość, nie dozwoliła mi dłużéj przeciągać tego żartu: wręczyłem mu pięciofuntowy bilet bankowy.

A oweż obiady wydawane na cześć moją, Boże! co za obiady! Wspomnę tu tylko o tym, na który miasto Londyn zaprosiło mnie do Westminster-Hall, a który świetném zebraniem, wystawnością uczty, wymową toastów przeszedł zdaniem ogółu wszystko, co dotąd w tym rodzaju istniało. Czułem, że gwiazda moja zbliża się do swego zenitu, gdy książę Walji wzniósł moje zdrowie, a alderman Fitz-Noodle, jeden z najznakomitszych negocjantów City, powstał i wniósł myśl dodania do mego imienia tytułu **wielki**, który odtąd miał być nieodłącznym od mojéj osoby przez ciąg dziejów. Towarzystwo całe powstało, jakby zelektryzowane, i przez przeciąg dziesięciu minut co najmniéj, tłum ten zawył tysiącem ust mój nowy tytuł.

W téj to chwili, powtarzam, los Ryszarda Rębajły doszedł swego apogeum.

.............................................................

— Marjo, która tam godzina? pytałem służącéj.

— Siódma; chciałabym uprzątnąć pokój, jeśli to nie przeszkadza Waszéj Excelencji.

— Owszem! Ah! jakże to ciężka praca, Marjo, rządzić wielkim narodem; trzeba poświęcić sen spokojny, sypiać w ubraniu i nabawiać się bólów głowy.

— Zapewne, panie; ale gdybym to mówiła do kogo innego, nie zaś do Waszéj Excelencji, pozwoliłabym sobie przypisać wszystkie te niedogodności wpływowi grogu.

— Nie, Marjo. Na miłość boską nie rozgłaszajże czasem wieści tego rodzaju!

Bądź co bądź, nie miałem ani minuty wypoczynku. Tejże saméj nocy nowe mi przyszło natchnienie i kazałem wezwać zaraz wszystkie grube ryby londyńskiego handlu.

Gdym wszedł do Saint-James-Hall, miejsca zebrania, entuzjazm, z jakim mnie przyjęto, nie dozwolił mi przez chwil kilka ust otworzyć. Przyszedłszy do słowa rozpocząłem następną przemowę:

„Panowie, rzekłem w końcu, cenię waszą uprzejmość i mam nadzieję, że i nadal zachowacie dla mnie też same względy. Od chwili gdym was poznał powziąłem myśl ważną, którą teraz pragnę urzeczywistnić. Czujecie to sami zapewne równie dobrze, co mówię, nierównie lepiéj niż ja, że handel jest źródłem naszéj wielkości i że rząd zręczny powinien wszystko czynić co może dla rozwoju handlu. (Oklaski). A więc, nie ma nic zbawienniejszego w tym względzie, jak wielkie wystawy. Wnoszę, panowie, abyśmy urządzili nową, międzynarodową wystawę. (Gorące oklaski).

„Ale, panowie, nie zadawalniałem się nigdy niewolniczém naśladownictwem tego, co już inni rozpoczęli. Wystawa, którą ja pragnę otworzyć, będzie czémś całkiém nowém w swoim rodzaju. Na pierwszy rzut oka zdaje się to arcy-trudném, tak już bowiem nadużyto wystaw powszechnych, miejscowych, częściowych i t. p. Ale, nie! jest jeszcze sposób nadania naszéj wystawie cechy oryginalności. Jest gałęź znakomita naszego narodowego przemysłu, która w dotychczasowych wystawach dziwnie była zaniedbywaną; gałęź, w któréj Wielka Brytanja bezspornie przewyższa wszystkie inne narody, gałęź, w któréj wszyscy możecie być wystawcami. Wystawę téj to gałęzi przemysłu, dziś wam proponuję, panowie.“

Grzmot oklasków przerwał mi mowę. Skoro się trochę uciszyło, alderman Fitz-Noodl postawił wniosek, aby koledzy jego negocjanci podpisami swemi zabezpieczyli pokrycie kosztów projektowanéj wystawy. Wręczono mi też niebawem listę potentatów handlowych City z podpisami na dziesięć, sto a nawet i tysiąc funtów sterlingów. Podziękowałem im i ciągnąłem daléj:

„Pozostaje mi teraz tylko, moi panowie, powiedzieć wam słów kilka o ważności, świeżości pomysłu i potrzebie méj wystawy, a pewien jestem, że wszyscy przyznacie mi słuszność. Będzie to, panowie, wystawa wszystkich fałszowanych fabrykatów z nazwiskami fałszerzy, wypisanemi wielkiemi głoskami, po nad każdym osobnym oddziałem wystawy. Każę starannie zanalizować wszy-

stkie towary, ja zaś sam biorę na siebie zadanie oświecenia zupełnie pod tym względem publiczności.“

Tu nagle ustały oklaski; wszystkie oczy zwróciły się ku mnie; wszystkie twarze przybrały wyraz osłupiały, jakby ich który z uczniów Mesmera przykuł do miejsca.

„Kończę więc, panowie, ponieważ widzę, że jesteście zmęczeni czy też nieusposobieni do słuchania, oznajmiając wam, że nie potrzebujecie trudzić się nadsyłaniem mi prób waszych towarów. Moi urzędnicy udali się już do waszych składów i nabyli tam próby wszelkich rodzai; w téj chwili znajdują się one w rękach specjalnych chemistów, którzy podjęli się ich analizy. Trochę cierpliwości tylko, a spotkacie się panowie z własnemi wyrobami na téj wystawie.“

Z żalem muszę tu skonstatować, że nasz meeting zakończył się nieporozumieniem ogólném; ale ze zwykłym sobie uporem doprowadziłem do skutku mój projekt, i to z powodzeniem zupełném.

Moja wystawa przeszła świetnością wszystkie dotychczas odbyte. Zmuszeni byliśmy zająć nietylko obszerne budynki South-Kensington, ale i Exeter-Hall i dziewięć znaczniejszych lokali stolicy; każdy kupiec bowiem figurował tu znaczną liczbą przedmiotów handlu, a ja starałem się, aby wystawa moja była kompletną.

Otóż w jaki sposób rzecz tę urządziłem. Przytaczam tu oddział towarów wystawionych przez mego najserdeczniejszego przyjaciela aldermana Fitz-Noodle.

Naprzód pod Nr. 1 był anons o „herbacie 18nasto pensowéj“, któréj równéj pod względem dobroci i czystości niepodobna znaleść. Miała to być wedle słów anonsu jedynie prawdziwa herbata. Reklama ta widniała z daleka wielkiemi, wypukłemi literami wraz z nazwiskiem kupca i jego adresem.

Nr. 2 stanowił funt téjże herbaty, tak jak go otrzymuje publiczność.

Nr. 3. Drugi funt téjże herbaty zanalizowanéj przez chemików i rozłożonéj znów na pierwotne swe części składowe, które kazałem umieścić osobno, na wytwornych porcelanowych talerzykach, opatrzonych temi napisami:

S u b s t a n c j a: Liście śliwkowe 8 uncji; proch herbaciany 5 uncji i t. d. C z y n n i k i z a b a r w i a j ą c e: Lazur pruski i t. d.

Działanie tego towaru na kupujących: utrata apetytu, zdenerwowanie, chudnięcie i śmierć.

Działanie jego na kupców: powóz i wspaniała willa; majątek sta tysięcy funtów w nieruchomościach; krzesło w parlamencie; biskup ojcem chrzestnym dla dzieci; pewność doczekania się urzędu mera; szacunek współobywateli.

Naśladuj go, przechodniu!

Kilka tego rodzaju środków, których użyłem przeciw kupcom win, pomiędzy innemi, zachwiały silnie moją popularność; czas już było, aby nadszedł koniec mojéj dyktatury. Tegoż samego dnia, którego miałem złożyć rządy, na godzinę przed moim powrotem do prywatnego życia, wybuchła rewolucja: robotnicy, których chciałem przenieść do Australji z rodzinami kosztem państwa, w ich własnym interesie, zamiast mi być wdzięcznymi za tę przysługę, oblegli tłumnie moją rezydencję. Z uderzeniem dwunastéj w południe, w chwili gdy się kończyła moja legalna władza, uszedłem przez okno pałacu w balonie w pośród odgłosów wściekłości ludu. W sekundę późniéj byłem już na wysokości 500 stóp po nad gmachem i przesyłałem ostatnie pożegnanie tłumowi, świetnościom, władzy i dyktaturze.

**A. C.**

# PRZEGLĄD LITERACKI

**Paszkowskiego** generała „Dzieje Tadeusza Kościuszki, pierwszego naczelnika Polaków.“ 1872. Kraków, w druk. uniwers. Jagiell. — na składzie u D. E. Friedleina.

(Dokończenie).

Z toku całego dzieła trudno się przekonać, z jakiego właściwie stanowiska politycznego autor zapatrywał się na snujące się przed nim fakta dziejowe; — nie rozwijając ani szerszych poglądów, ani jakichkolwiek przystępnych nam zasad społecznych, obraca się zwykle w niezrozumiałych nam już dzisiaj komunałach. I tak n. p. rozpoczyna dzieło swoje w sposób następujący:

„Każdy człowiek z początkiem życia odbiera piętno rodziny narodu, i pory swego urodzenia. Wychowanie pielęgnuje w nim, podnieca i podpiera rozwijanie się odebranych i ciągle odbieranych wrażeń, a te w każdym obecnym stanie społeczności są dotąd sobie sprzeczne. Słabsze duchy ulegając całe tym wrażeniom, spór ich w siebie biorą, z sobą sami walczą, a niezdolni zwyciężyć, ścierają się i nikczemnieją, unoszeni prądem swojego czasu. Silniejsze duchy opierając się od początku w sobie niezgodnym wrażeniom, spór ten z siebie za siebie późniéj wywodzą, o tyle zawdy dzielniejsi, o ile z sobą bardziéj w zgodzie, statecznością niestateczność pokonywać są zdolni“ i t. d.

Po tym niefortunnym i chaotycznym wstępie, któryby niecierpliwego czytelnika mógł odstraszyć od dalszego czytania, przystępując autor do swego przedmiotu, coraz zrozumialszym przemawia językiem; pobieżnie zaś skreśliwszy pierwsze lata życia bohatera swego i pobyt jego w Ameryce, rozpatruje się w stosunkach narodu, na tle których występował Kościuszko w r. 1794.

Wszystko było niby przygotowane do powstania; nalegano na Naczelnika, który gdy dał oczekiwane hasło, pokazały się mnogie niedostatki, a tym nie było można od razu zaradzić. Pojął Kościuszko, że za mało było broniących honor Ojczyzny synów, „ale zawdy dosyć, aby zginąć uczciwie.“ — W odezwach swoich i rozporządzeniach pamiętał także „o Kozakach, tak srodze przez nas pokrzywdzonych, którym wracając swobody, wrócić chciał ich dzielną pomoc Ojczyźnie.“ Niestety za późno pomyślano o Kozakach; Naczelnik prócz odezw i piśmiennych rozkazów nie używał innych środków, bo niemi nie rozporządzał.

Od 24go marca do 1go kwietnia bawił Kościuszko w Krakowie, zatrudniony zorganizowaniem swoich sił powstańczych. Dnia 4 kwietnia stoczył bitwę pod Racławicami i odniósł zwycięztwo kosztem rozsypania się zupełnego sił powstańczych. Autorowi, który ubolewa nad tém, iż nie było komu ścigać nieprzyjaciela, szarpać go w odwodzie, zagrażać na skrzydłach, płoszyć go i nużyć, — nie przyszło na myśl, że w kraju wybijającym się na niepodległość, w kraju bez regularnéj armji stotysięcznéj, rola płoszenia i szarpania nieprzyjaciela przypada mieszkańcom niebiorącym w rewolucji czynnego udziału. Jeżeli zaś Naczelnik podejmował walkę prawidłową, błądził w zasadach powstańczych, które potępiają całkowicie prowadzenie wojny regularnéj. Że na kilku punktach wybuchło powstanie, nie było to zasługą Naczelnika, ale raczéj przypadkowym zbiegiem okoliczności; te punkta zresztą były tak rozstrzelone, że znajdujące się tam oddziały operować nie mogły w jednym kierunku, stósownie do planów główno-dowodzącego. Takich oddziałów każde województwo było powinno choć jeden dostarczyć; tymczasem zaś słabe je-

dynie ognisko całego powstania koncentrowało się przy boku Naczelnika, podczas gdy oderwane zastępy albo wcale albo też mało się dawały we znaki nieprzyjacielowi.

Zebrawszy swój oddział pod Słomnikami, cofnął się Naczelnik do Bosutowa pod Kraków. Tam kazał otoczyć okopami miasto i wzmocnić zamek; załogę zaś liczącą 3,200 głów zostawił pod dowództwem, poleconego przez Zajączka, Wieniawskiego, „młodego, niedoświadczonego człowieka“, który następnie wydał w ręce Prusaków powierzone sobie miasto. Autor nie wchodząc w szczegóły pobytu Kościuszki pod Krakowem, nie zdaje ścisłéj sprawy z wszystkich jego czynności publicznych i nie zastanawia się nad tém, jak było można wynieść na stopień generała owego Wieniawskiego, za którym, prócz nieprzychylnego Kościuszce Zajączka, nikt i nic nie przemawiało. Dzisiaj dziwi nas ów brak mężów zdolnych i trudno nam pojąć, że Naczelnik w ciągłych żyjąc stosunkach z najznakomitszemi w kraju osobistościami, nie zdołał się otoczyć ani ludźmi zdatnymi, ani nawet duszą i sercem jemu oddanymi; przyjaciele bowiem jego najszczersi, do których sam autor się liczy, datują się dopiéro z czasów późniejszych.

Pochód Naczelnika ku Połańcowi był raczéj przechadzką niż wojną, która oparta na bagnetach, pikach lub kosach, z pochodnią w ręku, rozlewa się po kraju, zostawiając w ślad za sobą strumienie krwi i zgliszcza zburzonych grodów. Autor nie czując tego, pisze na str. 81: „Tak w powolném ciągnieniu i spokojném na jedném miejscu obozowaniu, Naczelnik czyniąc z siebie wszystko, co z niego było, sposobił wojnę w jéj duchu i narzędziach“ i t. d.

Ten przytoczony tu ustęp potępia więcéj Naczelnika, niżeli, jak tego pragnął generał Paszkowski, miałby mu sławy przynieść. W powstaniu bowiem nie wolno trawić spokojnie, nie wolno się czołgać żółwim krokiem, podczas gdy z całych sił biedz wypada; — s p o s o b i ć wojnę trzeba było za zielonym stołem lub przy kominku, ale nie w chwili, gdy losy kraju ważyły się na polu bitwy, na bruku warszawskim. Z własnych tedy autora orzeczeń wynika, że Naczelnik albo myślą nie ogarniał całéj rozciągłości swego zadania, albo nie posiadał zmysłu organizacyjnego, albo że mu zbywało na owéj sprężystości, na owéj niezłomnéj woli, która przeszkód nie zna.

Prawda, że Kościuszko walczył i z Rosją i z Niemcami, i niemniéj też ze znaczną częścią własnego narodu, — że wśród takich okoliczności trudném było jego położenie, — wszystko to przecież nie zdoła go uwolnić od zarzutów, jakie na tém miejscu czynimy Naczelnikowi, nie naruszając w niczém owéj głębokiéj czci, która się Kościuszce słusznie należy. Przedewszystkiém chodzi nam o wytworzenie prototypu choćby urojonego, o nakreślenie w niektórych zarysach Naczelnika „przyszłości“; — w tym jedynie celu krytykując naszego bohatera, zastrzegamy się od jakiéjbądź insynuacji, któraby wyrodzić się mogła w umysłach nam nieprzychylnych. Sądu naszego nie posuwamy jednak do téj ostateczności, w jaką wpadali niektórzy współcześni Kościuszce, twierdząc, „że, jak autor donosi na str. 148, umiarkowanie Naczelnika było dla kraju zgubne, występne i zbrodnicze, że było dowodem niezdatności a nawet dumnego zabiegu, żeby sobie do panowania utorować drogę.“

Wśród różnorodnych komunałów i sentencji mniéj lub więcéj nam przystępnych prowadzi daléj generał Paszkowski swą pracę, która skoro nie odstępuje od przedmiotu ściśle wojskowego i kronikarskiego, jest treściwie i ze znajomością rzeczy skreślona.

Dnia 6 czerwca stoczył Naczelnik bitwę pod Szczekocinami. — W sprawozdaniu swojém zamilczając o winnych, „wymieniał walecznych i statecznych“, czego my nie możemy żadną miarą pochwalić; nie byłoby albowiem ani cnoty ani zasługi, gdyby w świecie żadnéj nie było zdrożności, a skoro wódz chwali zasłużonych, potępić powinien występnych.

Od 6go czerwca do 13go lipca cofał się Naczelnik spokojnie od Szczekocin do Warszawy, gdzie się zamknął z wojskiém swojém. I z tém postępowaniem trudno nam się pogodzić.

Mógł Naczelnik 'pokazać się Warszawie, lecz wydawszy potrzebne rozkazy i rozporządzenia, powinien był stolicę opuścić i osobą swoją rozniecać po kraju zapał wojenny. Warszawa skoro sobie dała radę z Igelstromem, mogła była sama się bronić, również jak i Kraków, który po bitwie Szczekocińskiéj wpadł haniebnie w ręce Prusaków. Burzliwych zaś malkontentów warszawskich trzeba było koniecznie usunąć lub wcielić do szeregów tworzących się na prowincji, ażeby tym sposobem odwieść ich zaciekłość od występnych rodaków i skierować ją wyłącznie na wrogów-cudzoziemców. W obec bowiem najazdu ustają zwykle waśnie domowe, które w Polsce szerokie zawsze miewały pole popisu, a zwłaszcza gdy malkontenci nie czuli zawieszonego nad sobą ramienia żelaznego przewódzców. Naczelnik biadał nad skrytymi i wewnętrznymi nieprzyjaciołmi, ale ich ani nie poskromił, ani nie wysłał na pierwszy ogień nieprzyjaciela. Owszem, dawał im „czas, pochop i łatwość do upamiętania się“, zalecając przytém, „aby wyśledzonych do téj zdrożności podżegaczów, wedle ustaw sądzono i ukarano.“ Tak dzieje się i to słusznie w państwie uorganizowaném i spokojném, ale powstanie narodowe innych używa środków.

Podczas oblężenia Warszawy obwarował Naczelnik stolicę, którą ostatecznie oswobodził od otaczających ją nieprzyjaciół. Autor nie zdaje sprawy szczegółowéj o tém oblężeniu; nie wspomina, czy uskuteczniano nocne wycieczki, czy utworzono oddziały straceńców (éclaireurs) niepokojących nieustannie nieprzyjaciela i t. d. Natomiast stara się usprawiedliwić Naczelnika, że żadnych stanowczych kroków z niewprawném swém do wstępnego boju wojskiem nie przedsiębrał. Nie podzielając tego zapatrywania się na młodego wojaka, twierdzimy, że otwarty tylko bój zdolen podnieść i potęgować odwagę żołnierza; w czterech zresztą miesiącach otrzaska się powstaniec z niebezpieczeństwém wojny, a skoro raz przypatrzy się płynącéj krwi wroga, zapragnie jéj częściéj i więcéj. Taką sposobność powinien był Naczelnik wojsku swemu nastręczać a zastępy Kościuszkowskie byłyby wyrównywały współczesnym sobie ochotnikom Rzeczypospolitéj francuzkiéj. Za okopami żołnierz nie wyrobi się nigdy na bohatera.

Niezawodnie poczuł Naczelnik niewłaściwość swego w stolicy pobytu, bo dnia 29 września był u Sierakowskiego w Wiśniowie, a 30go w Grodnie u Mokronowskiego.

Po powrocie z téj wycieczki „bawił Kościuszko w Warszawie dopóki się nie dowiedział, iż Fersen na dniu 6 października Wisłę pod Maciejowicami przechodzić zaczął i wtedy dopiéro z 7go na 8go nocą nagle i tajemnie wyjechał...“ i przyjął 10go pamiętną w dziejach naszych bitwę pod Maciejowicami, któréj stratę przypisuje autor Ponińskiemu, popierając swe twierdzenie różnemi dowodami i konjekturami.

Ranny na polu bitwy dostał się Kościuszko do niewoli rosyjskiéj, z któréj go uwolnił imperator Paweł.

Od téj chwili był nasz bohater stracony dla narodu.

Pojmujemy, dla czego Kościuszko uporczywie odrzucał propozycje Pawła i Napoleona, choć z jednego i z drugiego mógł był korzystać na rzecz Ojczyzny; zagadką przecież zostanie dla nas, z jakiego właściwie powodu skłaniał się na stronę Aleksandra I. Zagadki téj nie rozwiązuje gen. Paszkowski, lubo szeroko się

rozpisuje o tym stosunku. Republikanin z zasady i z głębokiego przekonania, który nawet dla możliwéj korzyści Ojczyzny o krok odstąpić nie chciał od swego wyznania politycznego, ów republikanin Kościuszko, w konsekwencji tego, co poprzedza, nie był powinien traktować i z Aleksandrem I. Korespondując zaś z nim, przyznał nam wszelkie prawo krytykowania stosunku swego do Pawła i do Napoleona.

W zeszłym już Roczniku pisma naszego, strona 596 sqq., oceniając Franciszka Rychiickiego dzieło „Tadeusz Kościuszko i Rozbiór Polski" nasunęliśmy kilka uwag krytycznych, odnośnych do pracy niniejszéj. „Niechęć, powiedzieliśmy, do rządów despotycznych Napoleona, którą nasz bohater miał wyrazić, stanęłaby w sprzeczności z przechylaniem się na stronę Aleksandra, którego rządy co najmniéj również były despotyczne jak cesarza Francuzów; — większę zaufanie do Aleksandra niż do Napoleona w sprawie polskiéj nie da się tak łatwo usprawiedliwić, bo jeżeli dla cesarza Francuzów Polska miała być stopniem jednym więcéj w pochodzie do wielkości, — to czémże była dla Aleksandra I?" Do tego orzeczenia dodamy jeszcze tę okoliczność, że przy ogólném zaufaniu, jakie naród polski miał do Napoleona i do Kościuszki, zestawienie tych dwóch imion na czele ruchu polskiego za czasów napoleońskich, byłoby niezawodnie inny dało obrot sprawie polskiéj, a zważywszy nadto, że generał Paszkowski nie uznaje bezwarunkowéj autentyczności danego Pawłowi słowa honoru, że Kościuszko nigdy już walczyć nie będzie przeciw Rosji, śmiało postawić możemy twierdzenie, że nieśmiertelny bohater nasz, dla dobra kraju, był powinien poświęcić swe przekonania polityczne i, bądź co bądź, honor swój złożyć na ołtarzu Ojczyzny. Postać jego w takim razie byłaby może mniéj wywołała sympatji w świecie, ale Polska natomiast mogłaby była odzyskać niepodległość swoją. Inne przecież były wyroki Opatrzności, z którémi nam ostatecznie zgodzić się wypada; Kościuszko, jako człowiek, wyszedł z téj walki zwycięzko, a Polska jęczy dotąd w niewoli.

Autor kończy swą pracę zastosowaniem słów Montekukulego do Turenniusza: „Był to człowiek nad człowieka, czyniący zaszczyt człowiekowi."

Generał Paszkowski, którego zdań w wielu jeszcze innych względach nie podzielamy, zasłużył się piśmiennictwu naszemu ogłoszeniem swego dzieła, do którego dołączył obok bardzo cennych wskazówek „Opisanie kampanji 1792 r."*) i „Napomknienia względem poprawy losu włościan w dawniejszém księstwie Warszawskiém", jedno i drugie napisane przez samego Kościuszkę; — generała Stefana Grabowskiego „Niektóre szczegóły tyczące się rewolucji 1974 roku w Litwie" i kilka ustępów z korespondencji Lehnerta do ministra Struensee.

Co zaś do źródeł odnoszących się do Kościuszki, o których autor sądzi, że „jak dotąd a może i na potém nic (o bohaterze jego) dokładniejszego podaném być nie może", nad to, co on napisał, nadmienić nam wypada, iż jakkolwiek uznajemy ich bogactwo, to przecież znajdują się w piśmiennictwie powszechném i takie, o których istnieniu generał Paszkowski chyba zgoła nic nie wiedział. W wymienionych powyżéj „Dziejach" spotkaliśmy się tylko z kilkudziesięcioma autorami przytoczonymi, my zaś mamy pod ręką wypisanych około 200 dzieł, — nie licząc wszystkich Historji polskich i powszechnych, obejmujących XVIII stulecie, wszystkich nowszych Encyklopedji i Biografji powszechnych, — które mniéj lub więcéj obszernie traktują o Kościuszce.

Obawa znużenia tak obszerną nomenklaturą Czytelników, wstrzymuje nas od wyliczenia wspomnianych dzieł i autorów. Ze względu zaś na użyteczność podobnego spisu, oraz i dla późniejszych biografów i dla przyjaciół rzeczy polskich wynajdziemy w naszém piśmie mały kącik, w którym urywkowo i porządkiem abecadłowym zamieścimy znaną nam literaturę Kościuszkowską. Nie sądząc przecież, jak to czyni generał Paszkowski, że „jak dotąd a może i na potém nic (w tym względzie) dokładniejszego podaném być nie może", wzywamy wszystkich Uprawiaczy i Miłośników Historji ojczystéj o łaskawe uzupełnienie mającego się podać spisu; w życiu bowiem wielkich mężów każdy, choćby najdrobniejszy szczegół, jest ważny.

Edmund Callier.

*) O téj pracy w osobnym artykule obszerniéj w dzisiejszym numerze mówimy. Przyp. Red.

# TEATR.

Oprócz powtórzonych spektakli, jeden tylko benefis pp. Liedkego i Puchniewskiego dostarcza nam materjału do dzisiejszego przeglądu.

Ubogi to zresztą materjał.

Zręcznie i potoczyście, lecz jakby od niechcenia napisana, a przez p. Grabińskiego i p. Kwiatyńską artystycznie w całém tego słowa znaczeniu wykonana, bluetka salonowa p. Zygmunta Sarneckiego „Nad ranem" była jedyną krasą tego wieczoru.

Tak zwana narodowa operetka Cyprjana Godebskiego „Miłostki ułanów polskich", jest obrazem nędzy pomysłu i przeprowadzenia, któréj przez szacunek dla dzielnego żołnierza z pod Raszyna pokazywać się nie godzi. Na wykonanie złożyły się zakatarzone głosy i bezprzykładny idjotyzm kapeli teatralnéj, która tego wieczora przewyższyła wszelkie nasze pojęcia o „kociéj muzyce."

Trzecią i ostatnią częścią składową tegoż benefisowego przedstawienia była komedyjka Langego „Tylko jedno słowo." Utwór sam jest bardzo ładny, ale nie każden ładny utwór wybierać się godzi. Bohaterem jest smutnie w rozbiorowych naszych dziejach zapisany minister ks. Kaunitz. Okrzyki na cześć jego wznoszone brzmią niemile na polskiéj scenie. Coby też powiedziano, gdyby w podobnéj sytuacji pokazano nam Murawiewa?

A przecież jeżeli hr. Murawiew wieszał nas, to ks. Kaunitz darł nas w kawały. Szkoda, że o tém zapomniano!

Obaj beneficjanci należą do najsympatyczniejszych członków teatralnego personału, obaj są pełni talentu i artystycznego poczucia, ze względu więc, że talent i artyzm „obowiązuje", spodziewaliśmy się lepszego wyboru na benefisowy wieczór. To, co napisaliśmy, jest wyrazem zawiedzionych oczekiwań.

* * *

Obowiązkiem jest naszym zapisać na tém miejscu, że bawiące w Poznaniu podczas tego karnawału obywatelstwo wiejskie przyczynia się do benefisów znacznemi naddatkami do cen zwykłych, że nadto poznawszy przeciwności materjalne, z jakiemi walczy narodowa scena, oczekująca na własny gmach, toż obywatelstwo zamówiło nadzwyczajne przedstawienie i zakupiło wszystkie miejsca. Dzięki temu zacnemu czynowi wzmogła się na czas jakiś kasa teatralna, którą miejscowa publiczność słabo tylko zasila.

A więc i tym razem pomoc przyszła od tych, co nie zwykli skąpić krwi i grosza za sprawę ojczystą, a więc to zawsze ci sami, wiecznie ci sami, na których za winy pradziadów spadają potępienia i gromy ze strony tych, co własne samolubstwo i nicestwo zagłuszają krzykiem.

* * *

Przeglądając pilnie „Teatralny afisz krakowski“, nabraliśmy przekonania, że scena tamtejsza pod kierunkiem p. St. Koźmiana stanęła w Polsce bezspornie na pierwszém miejscu. Szczególniéj pod względem repertoaru ani Lwów ani nawet Warszawa porównania wytrzymać nie mogą. Jest to nowy dowód niezmierněj przewagi artystycznego smaku i inteligencji nad cyframi środków materjalnych, których nie każden umiejętnie używać potrafi.

Zasługi, jakie p. St. Koźmian około podniesienia sceny i wykształcenia krakowskiéj publiczności położył, są istotnie poważne i godne najszczególniejszego uznania.

Przedstawienie „Fedry“ Racina na benefis pani Hoffmann było, jak nam donoszą, szeregiem tryumfów dla znakomitéj artystki. Na scenie zarzucono ją kwiatami i wieńcami, w loży zaś trzy deputacje z miasta wręczyły jéj dary odpowiednie okoliczności i artystycznemu stanowisku beneficjantki.

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
# RZECZACH POLSKICH.

— Walne zebranie **Towarzystwa Oświaty Ludowéj** odbędzie się w sali Bazaru na dniu 1go marca b. r.

* * *

— W dniu 19go b. m. wyszedł w Krakowie **Rocznik dla archeologów, numizmatów i bibljografów polskich**. Rok 1870, wydał Stanisław Krzyżanowski, Dr. filozofji. Kraków, w drukarni uniwersyteckiej 1873, wielka 8ka, str. 287. Na czele znajduje się następująca dedykacja, z powodu Kopernikowéj rocznicy: „Diei natalis Nicolai Copernici, inter praecipua Poloniae literatae ornamenta numerandi, annum quadringentesimum celebrans hanc natalitiam, coeli siderumque spectatorum lumini, δοσιν ὀλιγην τε φιλην τε, dicat Stanislaus Dębno de Wola Sienieńska Krzyżanowski, philosophiae doctor, hujus archaeologici libri annalis auctor atque editor.“ Dzieło to, którego pierwszy rocznik, za rok 1869, w objętości półtrzecia raza mniejszéj (111 str.) wyszedł w r. 1870, następny zaś za rok 1871 już jest w druku i wkrótce ma się ukazać, zawiera następujące artykuły: „Młodość Stanisława Bohusza Siestrzeńcewicza“, późniejszego arcybiskupa mohylewskiego i metropolity, przez Aleksandra Werykę Darowskiego; — „Drukarnie na kresach multańskich“ przez Dr. Józefa Rolle; — „Założenie uniwersytetu krakowskiego w r. 1364“ (wstęp i pierwsze dwa rozdziały bardzo obszernéj i gruntownéj pracy, która ma być dokończoną w następnych rocznikach) przez Dr. Alfreda Brandowskiego; — „Sprawozdania z czynności rocznych Towarzystw archeologicznych, naukowych i t. p.“; — „Wykłady publiczne archeologji na wszechnicach polskich w r. 1870“; — „Nabytki w ciągu roku muzeów bądź rządowych, bądź prywatnych, jako téż i bibljotek“ (do tego należy obszerna i ciekawa rozprawa Dr. Władysława Wisłowskiego o rękopismach i ciekawych drukach, nabytych w ciągu roku 1870 przez bibljotekę Ossolińskich); — „Wykopaliska rozmaite polskie w kraju i zagranicą“; — „Spis prywatnych zbieraczów z wyszczególnieniem ich zbiorów i kierunku, w jakim przedewszystkiém swoim studjom się oddają“ (obejmuje 361 nazwisk); — „Prace i poszukiwania archeologiczne w r. 1870“; — „Nekrologja zmarłych w ciągu tegoż roku archeologów“; — „Bibljografja archeologji“; — „Kronika.“ — Jak widać już z tego pobieżnego wyliczenia treści, całość bardzo starannie zebrana, zawierająca przedmioty żywo wszystkich starożytników naszych interesujące i zasługująca na szczegółowy przegląd, którego w swoim czasie dopełnimy.

— Na pamiątkę 400-letniéj rocznicy urodzin Kopernika wyszło obecnie nakładem Bibljoteki Kórnickiéj znakomite dzieło pod tytułem „Hydraulika wraz z teorją budowy machin wodnych“, opatrzone mnóstwem drzeworytów, obejmujące 72 arkusze ścisłego druku, a napisane przez **Feliksa Kucharzewskiego** i **Władysława Klugera**, inżynierów dyplomowanych przez szkołę dróg i mostów w Paryżu.

* * *

— V. Spanhel przełożył na język czeski **Wołodego Skiby** (Sabowskiego) powieść p. n. „Kwiat z Sumatry.“

* * *

— Słynny pisarz francuzki **Ludwik Figuier**, autor biografji sławnych uczonych, wydał niedawno temu w Paryżu podręcznik dla uczącéj się młodzieży o różnych plemionach rodu ludzkiego. Dzieło to zawiera mnóstwo co do **plemion sławiańskich** niedokładności, które głośny i powszechnie znany sławianofil **Ludwik Léger** w jedném z naukowych pism francuskich w sposób następujący prostuje:

„Do rodziny sławiańskiéj, mówi p. Figuier, należą Rosjanie, Fińczycy, Bułgary, Serbowie i Bośniacy, czyli raczéj mieszkańcy Sławonji.“

Nie ma dzisiaj podręcznika geograficznego, z któregoby nie można wyczytać, że Fińczyczy, nietylko, że nie należą do plemion sławiańskich, ale nawet nikt ich nie policzy do ludów indo-europejskich. — P. Figuier tém lepiéj wiedzieć to powinien, że kilkakrotnie powołuje się na klasyfikację d'Omaliusa d'Halloy, którego zresztą tablice statystyczne zamieszcza na końcu swego dzieła. D'Omalius d'Halloy rozróżnia Fińczyków od Sławian.

Zkąd autor wyjął ową Sławonję zamieszkałą przez Rosjan i Fińczyków? Sławianie zgoła nic o niéj nie wiedzą. Pod nazwą Sławiańszczyzny (Slavie) rozumie się czasem kraje zamieszkałe przez ludy sławiańskie, ale prócz Sławonji, czyli Słowacji austrjackiéj nie mamy w Europie kraju téj nazwy. — Bośniacy pod względem etnograficznym są Serbami; jeżeli więc p. Figuier chciał wykazać różne szczepy serbskie, powinien był tém samém prawem wyliczyć mieszkańców Hercogowiny i Czarnogóry.

Następnie wylicza p. Figuier Magiarów czyli Węgrów, Kroatów, Czechów i Litwinów.

Zatopiony w swych studjach nad naukami fizycznemi

p. Figuier, niezawodnie nie zajrzał nigdy do jakichkolwiek dziejów austrjacko-węgierskich, z którychby się dowiedział, że w tém obszerném państwie największa część kwestji politycznych wywiązuje się właśnie ze sporów Sławian z Madziarami. Gdyby zresztą Węgrzy byli Sławianami, panslawizm byłby już od dawien dawna ustalonym. Czyby p. Figuier miał przypadkowo pomięszać Madziarów ze Słowakami, o których zapomniał zupełnie w swém dziele?...

Następnie dowiadujemy się, że ongi Serbowie zamieszkiwali w pobliżu morza Baltyckiego, czyli starożytnego Palus moeotis(!). Każdy kwartaner powie nam, że ów Palus moeotis zwie się dzisiaj morzem Azowskiém, które przecież nie leży tam gdzie Baltyk!

Kilka ustępów daléj twierdzi p. Figuier, że nieszczęścia Węgier pochodzą od anarchji sławiańskiéj.

Mięszając tu Madziarów z Polakami, mówi autor, że Węgry już prawie zupełnie znikły z mapy Europejpejskiéj. Niechże się w téj mierze uda do pana Andrassego!

Ludzie, których mordujesz,
Wcale się nie źle mają!

Stanąwszy p. Figuier w sprzeczności z d'Omalius'em d'Halloy, staje następnie w sprzeczności z sobą samym. Twierdzi bowiem, że Litwini odznaczają się łagodnością i ospalstwem, z czego z pewném prawdopodobieństwem wnioskowaćby można o krzyżowaniu się ich z krwią fińską (?). Ale, ponieważ wedle autora krew fińska jest krwią sławiańską, jakim więc sposobem może to pomięszanie wpłynąć na usposobienie ludu sławiańskiego?

Na inném miejscu zapewnia nas p. Figuier, że mieszkańcy wielkiéj Rosji składają się z ludów fino-sławiańskich, co wedle objawionych pojęć autora znaczyłoby po prostu sławiańsko-sławiańskich. — Na stronach 125 i 127 czytamy, że Fińczycy syberyjscy i wschodniorosyjscy mówią narzeczami tureckiemi! Na szczęście młodzież zwykła czytać bez głębszego zastanowienia się, inaczéj bowiem trudnoby jéj było pogodzić wszystkie sprzeczności autora. Najcenniejszą część dzieła jego stanowią niektóre ustępy o Sławianach południowych, wypisane z niedawno wydanego opisu podróży Jerzego Perrot. Opis Sławian syberyjskich, Wogułów, Ostiaków, Estończyków i t. d. także nie jest pozbawiony zajmujących i wesołych ustępów w obec tego, że na każdym kroku spotkać się można z urozmaicającemi go błędami.

Etnografję sławiańską kończy p. Figuier kilkoma zwrotkami poświęconemi Madziarom, których język i ubiór odróżnia od innych plemion sławiańskich! — Wierzę temu. Są to widocznie Sławianie, którzy żadnym nie mówią językiem sławiańskim. Ale p. Figuier nie chcąc się przyznać do tego, poprzestaje na twierdzeniu, że „cywilizacja Madziarów przewyższa cywilizację innych ludów sławiańskich!“.....

Autor opisawszy jako Sławian kilkanaście ludów, które się nie liczą do plemion sławiańskich, oświadcza nareszcie, że nie ma nic szczególnego do powiedzenia o Kroatach, Czechach i Polakach. Wystarcza mu oczywiście to, co powiedział o Ostiakach i Wogułach. Tém gorzéj więc dla Czechów i Polaków, jeżeli się tém nie zadawalniają. Oby pan Figuier był umiał zachować w obec ludów sławiańskich i innych plemion rodu ludzkiego toż same milczenie, jakie zachowuje w obec Czechów i Polaków. Dziedzina nauk fizycznych tyle talentowi jego nasuwa przedmiotów; dla czego więc błąka się wśród nauk, do których studja poprzednie bynajmniéj go nie przysposobiły? —

†

**Józef Łukaszewicz**

dnia 13 lutego.

### Skrzynka do listów.

— P. Drożyńskiemu w Zemlinie: Serdeczne Bóg zapłać za okazywaną nam życzliwość.

— P. J... T... w Stanisławowie: Praca Jego ukaże się w drugim roczniku „Stuletniéj Niewoli“, którego druk już rozpoczęty. Pierwszy rocznik już wyszedł; chętnie go Panu ofiarujemy, skoro nam wskażesz drogę przesyłki Do „Listów“ dołączyliśmy najnowszą pracę Zatheya o Panu Tadeuszu. O nadesłanie powieści prosimy.

**— Do A. B. Thorn post. rest. odesłano jeszcze przed Bożem Narodzeniem. — X. X. raczy odebrać list i odpowiedzieć.**



Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.